Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 7. kwietnia 1911. № 41.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi 2 razy na miesiąc w odstępach czasu 15-dniowych
pod kierownictwem **Józefa Rozprzy-Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedynczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogloszeniowych i agentów.

Treść numeru:

IDALIA BADOWSKA.

POETA.

(Ciąg dalszy). *(Ks. Antoni Szandlerowski).*

Bożenna na organach gra w świątyni, a łzy jej układają się w ołtarz dla Boga, a kwiaty więdną w nieukoje, choć je słońce złoci, więdną, bo rosną na ziemi, więdną już z wiosny, bo im spieszno w podwoje nieba. Ten cudny, jedyny pod względem poetyckiego napięcia śpiew Bożenny zwołuje na ziemię szelest skrzydeł Cherubina, który mówi jej o sobie, że jest z nieba i dlatego pierś ma w lody ściętą, a pióra strzępione śnieżną sadzią. Ale Bożenna, że jest z ziemi, smutnie patrzy na tego sługę Boskiego, któremu lica nie płoną ani bledną, gdy mówi o swym Panu i staje się dla niej pięknym dopiero w chwili wielkiego uniesienia miłosnego.

„Niech pozna niebo, co miłość człowiecza,
Niech zadrży, niech się przelęknie,
Niech zblednie... Jak ja niech uklęknie
Przed miłości tajnym źlebem
Przez miłości królowanie
Ziemia stała się już niebem —
Niech niebo stanie się ziemią".

I jak cień spływa na Bożennę św. Jan, który zwiastuje jej, że słowo stało się ciałem, że kochać będzie i żyć duchem—prawdą bożą. A po Zwiastunie idzie Oblubieniec, Ziemic i jak echo powtarza słowa z pieśni Bożenny:

„Więdną kwiaty w nieukoje
Kwiaty moje... kwiaty twoje
U ziemskich opłoci".

Miłość, szczęście... Communio, czyli biesiada dusz, której Chrystus błogosławi, łamiąc hostyę.

I oto dusza, która biegła po trzęsawiskach, kuszona przez Lucyfera, bita przez ludzi, dusza we łzach cała, jak pszczelne patoki, dusza krwawa od nadmiaru cierpienia, teraz w szczęściu nabiera takiego piękna, że klęknąć muszą przed nią nawet niebiosa. Chóry cherubinów i serafinów śpiewają swe najsłodsze pieśni, a nawet Lucyfer uderza w skrzydła radością i nadzieją gorze.

„A wzdy w miłości jestem zrodzon
I miłość harfa ma,
A chociem zemstą był owrzodzon,
Dziś harfa moja gra".

Zwycięża Miłość, wolny duch, pocieszyciel, którego zesłać miał Ojciec na ziemię na prośby Syna Jedynie wieczny, jedynie wiośniany duch.

Syn ze snem razem wraca do Nieba, do Ojca i tem też rozkwieca się duch miłości, królestwo Parokleta. Tron Boga, który stał się już pleśnią, musi być strącony. Korona krwawa tak samo, jak i męka krzyża, spopielą się, rozwieją, a On i Syn, jak słowo i myśl, zwiążą się razem, i na zawsze, tęsknotą za szczęściem, za miłością, za płomieniem i pieśnią. A sen ich idzie w wieczność.

„Paroklet" Szandlerowskiego—to przeczyste, szczytne objawienie twórczego ducha ludzkiego.

Dusza twórcy daje tu całowanie duszy czytelnika i w tym pocałunku zbawia ją, jak gdyby pocałunek złożony był na stopniach ołtarza, wystawionego jakiemuś największemu Bogu Jutra, który nie będzie już zadziwiał, przerażał i przelękał ludzi, ale miłością swą roztęsknioną w wieczność da wyzwolenie tym co dotąd stali po za złotą bramą...

Chińczycy mają przysłowie, które matki dzieciom wpajają zawczasu: „uczyń swe serce małym".

Nie pozwalam ci się uświadomić powiada katolicyzm, pokora jest największą cnotą. Więc i tu też to samo—umniejszenie naszej własnej istoty, które w każdym hardym, bezczelnym duchu powoduje pęknięcie nieuleczalne, choć dumnie zamaskowane.

Ks Antoni Szandlerowski żył z wielką wyniosłością po za granicami tego świata sutanny i kornych modlitw, ale cała jego patetyczna dusza nie mogła znaleźć na świecie innej formy wypowiedzenia się jak właśnie hymn, chorał.

Cała niespokojna, bezwzględnej prawdy spragniona i jej tylko szukająca jaźń jego – odpowiedź marzyła znaleść w wierze, której symbolem tylko miał być wszechświat. Marzyła myśl swą, związaną z tajemnem ciałem postępków i czynów tak natężyć – aby Bóg jakiś nowy, wielki Bóg miłości w niej powstał i dał jedynie wiekuiste zaślepienie radości, światła, siły i spokoju.

Mimowoli przychodzą na myśl słowa Nietschego--„my ludzie jesteśmy bardziej ludzcy niż bóg"—może dlatego właśnie tęsknimy za Bogiem, który by się uginał pod tym samym brzemieniem zwątpienia największych, a niedościgłych pragnień, a w całem swem skomplikowaniu, w całej swej głębi i pięknie ukrywał jakiś tajemny ból równający go z ludźmi.

Autor „Parokleta" i „Tryumfu sztuki" wiedział dobrze, że wszelka filozofia w tym kierunku jest bądź co bądź filozofią powierzchni, że po za każdym argumentem, pod każdem uzasadnieniem tai się zawsze jeszcze bezdeń, że za jaskinią myśli naszych i pragnień, leży zawsze inna jeszcze, głębsza, przestrzeńniejsza i bogatsza, i że zatrzymanie się w tem jakiemś określonem miejscu i kopanie, nie pokładając rydla nawet, będzie czemś dowolnem, czemś podejrzanem Stąd jego wielki bunt w sobie samym, stąd to zarywanie się ciągle i niedopowiadanie zaczętego, jak gdyby po za temi najszczerszemi, najognistszemi słowami kryły się jeszcze inne, jakgdyby cała jego metoda myślenia była kryjówką, maską dla innej, jeszcze dostojniejszej.

W twórczości samotnika, księdza—chcielibyśmy widzieć koniecznie coś z pustkowia, coś, co przypominało by nam szepty i trwożliwe rozglądanie się w samotni. W jego najdonośniejszych słowach, w krzyku nawet chcielibyśmy słyszeć dźwięk jakiegoś nowego milczenia i przemilczania.

Ale autor liryk „Sąd wam niosę" jakkolwiek nieraz dnie i noce spędzał ze swą duszą sam na sam w poswarkach i pogawędkach, to jednak nie nabrały twórcze myśli jego mrocznego zabarwienia kopalni podziemnych, chociażby klejnotów pełnych, nie przesiąkły zgniłym zapachem pławiącego się w sobie egoizmu, będącego stróżem chociażby przy bramie największych skarbów.

Polskie łany złotawą dojrzałych kłosów, jak królewską, szatą odziane, grusze ciche, płaczące kwieciem zróżowionem, piersi dźwigające się w świątynie, dusze rozpieszczone boskim zachwytem, i żary obłąkań miłosnych, i płomienie wcałowane w ramiona, i pięść groźnie zaciśnięta by wreszcie skruszyć ślepą, bez-

władną siłę — oto motywy liryk Szandlerowskiego ze zbiorku „Sąd wam niosę“.

Liryki, jak wiadomo, najlepiej odzwierciadlają wewnętrzne życie twórcy — są spowiedzią poniekąd, z nich też możemy dokładnie widzieć jak wysoką próbą cierpienia znaczone było życie Ziemica-Szandlerowskiego. Witraże nadziei w świątyniach jego popękały pod ciosami ślepego bezrozumu, dojrzałe granaty uczuć zdeptano, znieważono poświęcane ołtarze.

Ale to nic:

„Będę czekał... a dotrwam:
Lodowcem być mi trzeba, bo pragnę być hutą“.

I sam powstanę, chociaż orzekliście mnie trupem.

Trudno jest, o! najtrudniej chyba, polecić ludzkości jakiś cel, albo chociażby nauczyć ją „działać należy tak a tak“—to ma iść w nieskończoność; a to można nożycami przeciąć.

Trudno, bo ludzkość, jak dzieci, żąda zaraz rezultatów, reasumowania i oszukać jej nie można o ile się samemu nie wierzy zupełnie i bez zastrzeżeń w świętość swej sprawy.

„Nie oszczędzaj siebie“—powiada Gorkij—to najdostojniejsze człowieka!

Nie ukrywaj na piersiach swych kwiatów i gwiazd jakieś znalazł na drodze twej myśli, ale umiej je rzucić w tłum, zdaje się mówić całem swem życiem, całą swą twórczością Szandlerowski. Bo oto wszystkich, co chcą podobni być Bogu woła do siebie, wszystkich rzuconych bezdomnie chce przygarnąć pod osłonę swego płomiennego miecza, wszystkich ukoić pieszczotą duszną, co jak ranne pacierze twarz głaskać będzie, a rozżarzy na nowo iskry zaledwie tlejące już w piersiach.

Bo boską moc czuje w sobie autor liryk, zdolność—swym wzrokiem błyskawicznym rozświecić oślepłe, nocne urzeknięcie i odwalić ten morderczy kloc, co jak gniew Pański człowieka wciąż dławi. Ale oto głos załamuje mu się nagle, jak gdyby podcięte skrzydło orle, i szepce prawie już sam do siebie.

„Sieroca... tęskna... beznadziejna noc...“

I znowu wzmaga się duchem na myśl o Tym, co gładzi grzechy, co dusze najprostsze nawiedza—On poprowadzi, Jego mowa jest mową miłości—jest więc jasna i promienna. Chryste zstąp—a wtedy duch wszelki zbędzie się więzów... ran i królestwo twe posiądzie.

Wiara ks. Szandlerowskiego nie jest tą dobroduszną i prostaczo poddańczą wiarą, z jaką garną się do swego Boga północni i południowi barbarzyńcy ducha. Obcą jej jest to właśnie co stanowi uzasadnienie chrześciaństwa—wyrzeczenie się wszelkiej swobody, wszelkiej dumy, wszelkiego przeświadczenia o sobie ducha. Ale straszna w swej paradoksalności i zagadkowości formuła „Bóg na krzyżu“, jak w żywem ciele wycięte wyłogi kontusza, wgryzła się jednak w duszę Szandlerowskiego — i na niej opiera on kilka najsilniejszych swych liryk.

W świetlejszą, piękniejszą przyszłość niezachwianie wierzy Szandlerowski.

„My bieżmy w przyszłość! przez krew i przez trupy,
Przez własne trupy i przez własną krew!
Niech nas przeniknie miłości żar,
Serce niech tryśnie z plugawej skorupy.

(Dok. nast.)

JAN LORENTOWICZ.

Liryka Maryi Konopnickiej.

„Ach ja w pieśni przestaje być sobą,
A jestem smutkiem, ciszą i żałobą!...
(Serya I).

W liryce mieści się cały poeta W niej tylko istnieje jedyny, niezawodny znak, po którym poznać możemy boskość tchnienia twórczego.

Liryka Konopnickiej ma tę ogromną rozlewność, co zatapia wszystkie inne dziedziny jej poetyckiego marzenia; ma w sobie kryształową czystość źródła, z którego płynie, owego wielkiego, głębokiego źródła poezyi, co karmi nas, bogaci nasze serca przez cały wiek porozbiorowy. W tem właśnie trudność zbliżania się do niej myślą rozbiorczą Wiadomo przecież, że żaden naród nie żyje tak silnie pod urokiem poetów, jak my. Wszystko też przeminie: zaginą tysiące tomów naszych romansów, nasze szumne estetyki i nasze szaty pożyczone. Jedna tylko wielka, nieśmiertelna, potężna poezya polska, ten cud nad cudami, ten święty ogień, co niszczy nasze więzy, a światłem swem zalewa wszystkie nasze horyzonty — zostanie Nie prędko też nadejdzie chwila rzetelnego obrachunku, co się komu należy. Dziś i zdawna już trzymamy się wobec wielkich poetów naszych zasady (czy słusznej—to rzecz inna), że stoją oni po za krytyką, że „z karafki napić się można, uścisnąwszą ją za szyję i pochyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło".

Pragnąłbym objąć pamięcią kilkadziesiąt tysięcy wierszy Konopnickiej, dostroić swą duszę do kilku zasadniczych w nich tonów, aby módz stanąć wobec poetki tak, jak jej „Nadzieja" stawała przed drzwiami chłopskiemi: *prosty i cichy.* Chciałbym... Ale mogęż odzyskać świeżość wrażenia? Mogęż wrócić do tych czasów, gdy się deklamowało z zapałem owe właśnie tendencyjne „obrazki" Konopnickiej, które tyle krwi napsuły krytykom nienawidzącym sztuki czystej, ale szanującym „zdrową tendencyę?" Przesłaniają mi myśl teorye literackie, kryterya, misternie budowane przez całe lata, budzi się we mnie owa nieufność do prostych wrażeń, którą krytyk ma na dnie wszystkich poglądów. Cypryan Norwid utrzymywał, że stan taki pochodzi z nieumiejętności *czytania* autorów.

Znał on kogoś, „który wielkich korzyści z podróży nie odniósł, ale starał się chociaż czytać Tacyta w świątyni pokoju, a Wirgiliusza—opodal grobu jego, tragików greckich — w amfiteatrach pompejańskich, Danta — we Florencyi, Szekspira—w Londynie, noc pierwej całą po miasta tego nędznych ustroniach przechodziwszy, Byrona—na pełnym Oceanie, a Emersona — w Ameryce, na dachu płaskim, gdzie jest zwyczaj przechadzek". Przypomina on także, że niektóre indyjskie poezye w lasach się tylko czytywały...

Znalazłem w tych słowach wskazówkę dla siebie. Nie mogę przecież rozpamiętywać łzawych śpiewów Konopnickiej w zgiełku Paryża, gdzie nawet łzy haftowane na całunach podlegają specyalnej taksie, gdzie atmosfera przesycona metodami, gdzie poezya jest bizantyjską zabawką estety, gdzie „oddychając, cudze chłoniesz tchnienia—kroku nie mocnyś zrobić pierworodnie"...

Zabrałem ze sobą „cztery serye“ poezyi, pojechałem z niemi do jednej z najpiękniejszych miejscowości Francyi, w lasy sosnowe, „prawie takie jak nasze“, i pobiegłem z poetką w ów

. . . kraj daleki
Gdzie cicho płyną potoki i rzeki
I nurty swoje jako łzy tajone,
Toczą milczące, smętne, zatrwożone.
Tęskne ich szmery, ich szepty tułacze
Słyszą tam ludzie przez sen, przez przeczucie.

Nostalgia rozpromienia mi tę „ziemię ciemną“, gdzie „lasy pełne szmerów i rozruchów“.

Jakże tu inaczej! Tu drzewa szumieć *nauczono*; ten potok, co płynie tam w dole podemną, toczy nie „łzy tajone“, ale... efekt, który zaliczono do „pamiątek narodowych“ i za który turysta paryski płaci drogo; tłuste pstrągi w basenach karmią się mięsem wyniszczonych koni dorożkarskich, a skowronki... podają nam na pieczyste do stołu...

Wszystko czyni się z metodą, z rutyną, z porządkiem Mimowoli ulegam temu cywilizowanemu „nastrojowi“ i zaczynam wrażenia swe układać w kategorye. Napróżno poetka ostrzega:

„Wszak to pole gra!
Moje tylko, a nie czyje
Serce to, co pieśnią bije,
Moja tylko łza!“

Zaczynam wglądać w to serce, „co pieśnią bije“ i w tę łzę i ani się spostrzegam, jak tłumne uczucia szykują się w niesforne szeregi literackich uogólnień:

I. TON ZASADNICZY.—SKARGA NĘDZY I NIEDOLI.

Marya Konopnicka urodziła się z sercem tak ogromnem, że energję jej mogły były pochłonąć czyny altruizmu i poświęcenia, któreby bezpośrednio łzy ocierały, a nie starały się „dać usta wszystkim krzywdom ziemi“. Ale pierwszorzędny talent (jedyny może tej potęgi w historyi poetyckiej twórczości *kobiecej*) bezpośredniość odczuwania wyładował w kształty wierszy, które mają moc czynów i czar wiekuistego piękna. Krasiński mówił o Słowackim, że był to „czarownik, który tak posiadł język polski, jak się posiada kochankę, gotową na każdą skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz“. U Konopnickiej to „posiadanie“ było od pierwszej chwili zdumiewające. I ona także odezwała się „językiem nie mówionym, lecz z ducha błyskanym“. Wprawdzie w zdaniach jej słychac tu i owdzie szelest skrzydeł królewskiego ducha Juliuszowego, ale mają też zawsze „sumienność wobec źródła“, która stanowi cechę prawdziwej oryginalności.

Uczuciowość Konopnickiej pociągnęła najmocniej i najwyłączniej nędza ludzka, niedola chłopa polskiego.

Zabrzmiał z nią w poezyi polskiej ton, jeżeli nie zupełnie nowy, to w każdym razie po raz pierwszy tak donośny i tak przeciągły.

Siła liryzmu Konopnickiej występuje na jaśnię dopiero wtedy, gdy uprzytomnimy sobie epokę, w której poetka przemówiła. Wiemy, że było to w czasie, gdy brutalny egoizm dorobkiewiczów stanowił najświętszą ewangelię pozytywistów.

W wielkim „ducha bezprzytułku“ Konopnicka poszła, „wśród nocy tą drogą, którą łez ludzkich wskazywały ślady“, poszła, „prosto do tej biednej chaty,

Co nędzę swoją odbija jaskrawo
Od głośnych haseł, rozdwojeń i kłótni".

Zobaczyła tam tyle łez i krzywd i smutku, że serce jej nigdy już odtąd nie zaznało spokoju, zawsze i wszędzie wracało pod strzechę a pieśń, płynąca z tej lutni przechodziła całą, nieskończoną gamę skargi, od cichego, niemowlęcego kwilenia, do głośnych szlochań i długiego monotonnego, rozpaczliwego zawodzenia Głos miał brzmienie kobiece, pełne przedziwnej tkliwości, której — wychowani na poezyi męskiej — nie wiele znaliśmy przedtem.

„Oblecę—mówi—każde nędzne poddasze...
Po sercach pójdę snami cichemi,
Po myślach—gwiazdą, co w dali mruga...
I tak po całej obejdę ziemi,
Jaka szeroka i jaka długa,
I łzy pozbieram, jak gorzką rosę,
I w obu dłoniach pełnych poniosę
Do tych dalekich świtu promieni,
Co się to od nich wschód rankiem mieni.
Może mnie dojrzy przyszłych dni słońce,
Nad mogiłami w dali wschodzące;
Może wypije łzy jasność cicha,
Z rąk mych, jak rosę z kwiatów kielicha".

Pragnęłaby być brzozą zasadzoną przy wieśniaczej chacie, co „dźwięczy piosenką chaty i płacze jej łzami". Chodzi niestrudzona za chłopem na roli, podsłuchuje wszystkie tęsknoty i obawy matki, zbiera żale i smutki dziecka, zagląda do „piwniczej izby", zstępuje na „dno przepaści" niewieściej, towarzyszy ludowi w wieczornych zadumach, w jego piosenkach słyszy bicie „chłopskiego serca", przejmuje się jego rytmem, a tak przywyka do chłopskiego języka, że znaczna część jej piosenek mogłaby być śpiewaną przez lud. Takie zjednoczenie się z niedolą mogło było utrwalić łatwo w lirycznej skardze Konopnickiej nutę poddania się losowi — konieczność wyzysku tych, co „stoją niemi i głośni—milczeniem". Ale ona przyszła do nędzy z innego świata z innej klasy społecznej i o tem nie zapomina ani na chwilę. Zestawia nieustannie świat możnych ze światem nędznych i pyta zdumiona:

„Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany
A taką straszną, jak rozwarte rany?"

Tyle sama czuje winy wobec nędznej siermięgi, co jest jak „rana żywa na narodowem ciele się krwawiąca" że biegnie z rozpalonem sercem do chaty, staje „na progu" i woła szczerze, gorąco:

„O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz! dość żalów, dość kłótni..
Otwórzcie nam ramiona! to my—was szukamy
Bośmy może winniejsi... och! i bardziej smutni".

Ale ułudą jest to braterstwo, na „przebaczeniu" oparte. Czuje to poetka doskonale, więc nie przestaje porównywać świata nędzy ze światem dobrobytu. Powstał stąd cały szereg obrazów, śpiewów i piosenek. W niektórych antyteza wyłożoną jest tak jaskrawo, że aż psuje dyskrecyę efektu. Dzieje się to zwłaszcza

w „obrazkach' pierwszej seryi, tak popularnych w całym kraju, i tak surowo sądzonych. Do poezyj tych przykłada się dotychczas miarę krytyki bezwzględnej, a tymczasem są to jedynie liryczne dokumenty epoki. Uległy one mimowolnie polemicznemu nastrojowi rozpanoszonej wówczas prasy, tem więcej jednak działały na młodzież. Gdyśmy się rwali do poezyi narodowej, tłómaczono nam zewsząd, że niebosiężne wzloty romantyzmu każą dźwigać się zbyt daleko od twardej rzeczywistości. Prąd społeczny, jaki powiał śród młodzieży w kongresówce po darwiniźmie, usposabiał silnie do upodobania retoryki społeczno-poetycznej. Gdybyż estetycy, którzy zarzucali Konopnickiej zbytnią tendencyjność, mogli wiedzieć, ile serc młodych jej pieśni, łez i przeciwstawień pełne, rozgrzały: ile umysłów, skażonych przez otoczenie, pobudziły do rozmyślań nad krzywdą ludową! Jeżeli nie w literaturze, to w życiu odegrały one niezawodną rolę. Te wszystkie, „pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!" gdzie z poetyckiej tkanki wyziera rażący dydaktyzm,— nauczyły niejednego „lud orać jak niwę", bo popchnęły go w szeregi bojowników, w rzędzie których Konopnicka sama stanąć nie mogła. (D. c. n.).

GUSTAW OLECHOWSKI.

Niemoc i niewiara.

(Dokończenie). (Z powodu „Oziminy" Berenta).

Bo spójrzmy na artystyczną stronę utworu. Rzecz cała w powieści dzieje się w ciągu jednej nocy. Słyszałem głosy zachwytu nad tem właśnie, że autor 300 stron napisał o tem, co się stało w ciągu jednej nocy! Ależ każdy autor łatwo napisze 3 takie tomy o tem co się dzieje w ciągu jednej godziny tylko, dajmy na to — na wiecu politycznym Po prostu opisze to, co się dzieje w duszy, w myśli każdego z kilkuset osób, obecnych na wiecu. Uwalnia to autora od wszelkiej znajomości psychiki w rozwoju dusz ludzkich, uwalnia go to od konstruowania subtelnego dramatu, od kontynuacyi wszelkiej, od logiki, od dynamiki, od utrzymania stylu w rysunku indywidualności.

Nie robię z tego powodu silniejszego zarzutu autorowi, bo istnieje dużo dzieł w literaturze świata, tak skoncentrowanych w czasie, a jednak doskonałych,—obalam tylko opinię, jakoby to właśnie miało być walorem artystycznym. Zgoła inaczej. Jest to ułatwienie pracy, na które nie pozwalają sobie artyści chyba akcydentalnie, gdy tego absolutnie idea lub temat wymaga.

Mglistość farb, styl wymuszony i monotonny; maniactwo w powtarzaniu pewnych zwrotów, a nawet wyrazów (obrzydliwy wyraz fascynujący, fascynować—powtarza się bez liku); wielokrotność tych samych scen (Nina 3 razy w ciągu balu pada do nóg (?!)—Wandzie, Bolkowi i Dziadkowi); absolutne nieprawdopodobieństwa prawie wszystkich scen; afektowane, patetyczne dywagacye mrocznych spazmów jakichś dusz obłędnych—(Nina); niesłychana i nietolerowana w żadnej książce rynsztokowa trywialność powiedzeń, niczem nieusprawiedliwiona, żadną artystyczną koniecznością (nieudolne naśladowanie Przybyszewskiego i Tetmajera, u których najtrywialniejszy wyraz nawet jest okolicznością wprost uniezbędniony); masa rusycyzmów,

(wyżej kilka przytoczonych); obrzydliwości językowe w rodzaju—„sąd żaden" (keine gadanie—co?) lub: „pan chyba myszą wyskoczył lub nietoperzem przypadł", albo: „strzyknął plwociną sołdackim szykiem";—monotonja narracyi, ożywiająca się dopiero w ostatniej części; ubóstwo sytuacyi (szopkowe va et vient w oddzielnych pokojach); nudny werbalizm wreszcie—oto walory artystyczne „Oziminy".

Tak więc Berent—wystawiwszy nam bożka-pułkownika, nawytrząsawszy się nad „mumią egipską"—starcem weteranem wszystkich rewolucyi, któremu wypadkowo chyba włożył w usta najpiękniejsze słowa całej książki — że „duszę narodu zdradza się, gdy się własną pojedynczą zagubi", — splugawiwszy jedynie zdrowego w całem gremium człowieka, Niemana, dlatego chyba, że ukochał on życie nad smutek i że wzgardził wszystkiem, co smutek i pesymizm niesie, że jest pełen ciekawości życia, pragnienia i do walki gotów,—przesunąwszy przed nami kinematograf typów mętnych, niewyraźnych lub zgoła nieistniejących, niemożliwych, jak np. na balu goszczący dwaj studenci, bojkotowani po wszystkich wszechnicach europejskich za biedę (sic) i za wschodnią (?) niegrzeczność (!!),—daje nam autor galeryę „Polski" niewieściej

A więc Lena, pani baronowa, zero, samica, wyszła za mąż dla karyery, męża nie cierpi, była tematem sonetów poety, który się w jej mieszkaniu zastrzelił. Nina,—obłędna histeryczka w ostatnim stopniu, pada do nóg trzem osobom w ciągu jednego balu, ma wizye w antraktach, oddaje się Zarembie w buduarze, opowiada o tem Wandzie, którą przed chwilą poznała i w której się odrazu zakochala. Nina tak samo jak wszyscy inni—filozofuje głową i słowami osobistemi Berenta i niema żadnej indywidualności. Ola — najspokojniej wyjeżdża z balu incognito z jakimś panem Tańskim do mieszkania na kilka godzin, a potem nad ranem również spokojnie wraca. Wanda—typ kobiety—jedyny w powieści piękny — w intencyi tylko, bo w wykonaniu łamie się, nie żyje, opowiada tylko o swych pracach agitacyjnych, o swem więzieniu, o cierpieniach. Rzecz szczególną zaznaczę i dowodzącą ubóstwa autora w artystycznem objęciu tematu: oto wszyscy nieomal ludzie Berenta w „Oziminie"—nie żyją chwilą przeżywaną, choć ona jest ważną, tylko opowiadają sobie wzajemnie swe dawne przeżycia. Tak żyje sztucznie w powieści Wanda, Komierowski, profesor, Lena. Najbardziej żywą, choć znów — filozofującą nie swoiście—jest gość balowy—diwa operowa. Od niej się dowiadujemy, że wszystkie polki—to „gęsi o guście królewien, to na całą Europę specyalność waszego tu chowu", — a o polakach mówi: „wszystkie wasze namiętności są trupie, — wy tu jesteście antypodami ludzi, mających jeszcze jakieś rzetelne z natury własnej czerpane impulsy..."

Znużony balem (nie dziwię mu się) wyprowadza autor nad ranem Komierowskiego, Wandę i profesora—na Powiśle. Ta część powieści jedynie pisana jest odmiennie od całości, żywiej, naturalniej i znośniej. Tu spotykają oni burdę uliczną, spowodowaną rozprawą z prowokatorem i łotrem, biczem bożym Powiśla, potem mieszają się z pochodem tłumu (?) rosyjskich (!) sektantów (?), wreszcie wpadają pod kopyta koni kozackich i zostają aresztowani. Tak idą razem: Komierowski, Wanda i chłop jakiś, do wojska wezwany. Niektórzy krytycy nasi upatrują tu taki symbol, że męczeństwo ludu (chłop), inteligencyi—pracującej nad ludem (Wanda) i szlachcica, który przeszedł już czyściec—odbudują Polskę. Przyznam się, że tego symbolu nie widzę. Ludzi tych aresztują zupełnie przypadkowo, na spacerze, nie „przy robocie", nie jest to więc męczeństwo, lecz chwilowe nieporozumienie. Zebranie ich zaś razem jest tak sztuczne, jak sztucznie zlepionem jest całe towarzystwo balowe: bankierzy, hrabiowie i nędzarze studenci, pułkownik i agitatorka,

dziennikarz berliński, ksiądz, weteran rewolucyi, sybirak, histeryczki z okresu nagiej duszy i ladacznice wielkoświatowe.

Jaki jest stosunek Berenta do ludu roboczego—zobaczymy ze słów następujących: (str. 291, 292, 293) „Profesor nie raczył się nawet za nim obejrzeć... Syknął tylko przed się, w tłum:—Ile w tej tłuszczy *skośnookich* mord! ile *tatarszczyzny*, ile *wschodu* wszelakiego domieszać się tu musiało krwią,—a *duchem* ile chama *wschodniego* w ten zbarbaryzowany motłoch nasz!.. Czyż trzeba wyraźniejszego piętna i stygmatu Wschodu na tem cielsku nędzy wszawem!..“

Jakiemi oczyma patrzy Berent na świat? - trudno pojąć.

A babina jakaś mówi do profesora:

— „He, panie, na wszawicę to całe nasze cielsko bezdarne jest chore. I co panu powiem: te rodzime wszy to som najgorsze!...“

Ale czasem jednak zabłąka się i w „Oziminie“ jakieś słowo pozornie krzepkie a sercowe—jak echo „Popiołów“, „Róży“.

— „A ile waćpan harmat zdobyłeś“—pyta na balu ironicznie dama—profesora, gdy ten jej zwrócił uwagę, że tak dawniej damy pytały kawalerów—a dziś co?

W istocie jest to paradoks, a raczej paszkwil na naród,—paszkwil, który się mógł urodzić w głowie człowieka, zamkniętego w skorupie ślimaka, nie utrzymującego żadnego chyba kontaktu ze społeczeństwem. Dzisiejsza młodzież polska, która potrafiła się pozbawić wszystkich przywilejów wojskowych i uniwersyteckich dla idei wywalczenia polskiej szkoły, która potrafiła wzgardzić nadzieją lukratywnych posad dla tejże idei która potrafiła wreszcie walczyć jak lwy pod Mukdenem i na Szache dlatego tylko, że polak nie potrafi być tchórzem, ta młodzież jest godną Racławic i Somosierry. Naród może przechodzić epokę „nie harmatnią“! To nie wyłącza przyszłości i powrotnej fali.

. . . .

Żadne zdrowe społeczeństwo nie tolerowałoby takiej książki. A że u nas wynosi się ją pod niebiosa—dlatego na początku mówiłem o bankructwie krytyki.

Zamykam książkę i widzę, że autor niczego nie ukochał, wszystkiego nie cierpi i nienawidzi. Nieświadomie może - uległ silnym wpływom Wschodu, odbiegł od życia, od narodu, od polskości. Niema konkretnych ideałów. Jako artysta—cofnął się bardzo od czasów „Próchna“.

I—nie ma wiary.

LEON CHOROMANSKI.

Z powodu „Oziminy“ Berenta.

Zjawienie się „Oziminy“ Berenta stało się pewnego rodzaju ważnem zdarzeniem. Jedni okrzyknęli powieść - za arcydzieło—drudzy — uznali książkę za rzecz w formie ciężką, a w tendencji—znieważającą. Już dawno dzieło literackie nie wzbudziło takiego fermentu i nie wyłoniło tylu zdań sprzecznych. Będę usiłował odpowiedzieć na szereg zagadnień, jakie przede mną powstawały, gdym czytał „Oziminę“ i niektóre krytyki, skierowane zarówno przeciw książce, jak ku jej pochwale.

. . . .

Gdy się czyta „Oziminę“, stoi się na gruzach czegoś, co było dawniej potężną kulturą polską. Tej kultury (podług Berenta) już niema. Są tylko „truchła“ przeszłości, ludzie sponiewierani i zżarci przez nienawiść, luksusowe samice, histeryczne rezonujące panny, niewiedzące co począć z niedolą swego ciała i ducha, labusiowie w jedwabnych pończochach, wystygli skosmopolityzowani przemysłowcy, niedołężni mówcy, śmieszni młodzieńcy, rozżarte przeciw własnemu społeczeństwu śpiewaczki (które dopiero zagranicą umiano ocenić)—słowem—korowód osób, wobec których gasną wszelkie nadzieje. Ma to znaczyć, że naród niema spoistości i łączącej go w zgodny zespół duchów—religji.

Jeżeli ktoś doszedł do pewnej „prawdy“, należy zbadać, jaką do niej szedł drogą. Droga, po jakiej idziemy do pewnego celu, świadczy o tem, czem jesteśmy. Berent jest naturą nawskroś liryczną Przypuszczać, że „Ozimina“ jest dziełem scisłego, bezstronnego spostrzegacza, że jest rzeczą, mającą wartość historyczną—jest to nierozumieć talentu Berenta. W osnowie talentu lirycznego leży zawsze pewna wzgardliwa niechęć do rozległości i komplikacji świata. Jest w niej popęd do sprowadzania wszystkiego do kilku drgnień zasadniczych. Talenty tego rodzaju źle się nadają do badania terenów tak skomplikowanych, jak naród. Kto chce badać sprawę tak zawiłą powinien mieć skalę uczuć niezmiernie rozległą - od naiwności dziecięcej do zadumy mędrca. Trzeba czuć czystość pieśni ludowej, dowcip chłopców, roznoszących pisma po ulicach, charakter zarówno pogodnej dumy w oczach polskiej kobiety, jak owego zapału, który ogarnia naród w chwilach przesileń historycznych.

Talent liryczny urabia się na podstawie ścisłego doboru: artysta chce widzieć jedno, nie widzieć drugiego. Ugania się za pewnemi faktami i wrażeniami, a inne—pomija. Ze świata bierze on to, co mu jest potrzebne jako wykładnik jego stanu wewnętrznego. Jeśli w duszy artysty rozciąga się niema rozpaczliwa pustynia — będzie on brał ze skarbnicy świata zmysłowego barwy ciemne, kształty ponure, wypadki ciężkie, przedstawi szlachetność w łańcuchach, nietrwałość piękna, bezwzględny chłód Losu

Berent jest poetą kilkuset górnych jednostek, w których przerafinowanie kulturalne i umysłowe łączy się z gorączkowem poczuciem, że swą wyższość okupić muszą śmiercią bezpłodną. Pochłonięty tematem zbyt rozległym i w pierwiastki obfitującym, nie widzi autor, że staje się ofiarą swego temperamentu lirycznego. Doznaje się czasem wrażenia, że, idąc na poszukiwanie swych bohaterów, na których ma demonstrować żywotność duszy narodowej, trafił przez omyłkę nie w te drzwi. Lecz Berent tego nie widzi i z miną zaciekłą zabiera się do badania. Mamy spostrzeżenia jednostronne, lecz na całej przestrzeni powieści niezwykłe napięcie uczucia. Uczuciem tem jest — gorzkość.

. . . .

Przedrzyjmy się przez ciemny, ponury las „Oziminy“ i zobaczmy, co nagromadza autor. Spójrzmy na te ciała kobiece, rozrosłe, purchawkowe, na ich piersi, obrzmiałe jak miechy, symbole żądz leniwych a wybujałych, na ulice szare i brudne, na lepkie wejrzenia, wszawość głów, strupy, omdlałości, deliria, przewlekłe agonje, tchórzostwo i podatność na cudzy wrzask. Rubensowskie wykarmione, leniwe niewiasty Berenta budzą w nim i niechęć cierpką i namiętną uporczywą ciekawość. Czyż to wszystko nie mówi jasno o jednem: o ciężkich szabatach wewnętrznych, o zawikłaniach i tragedjach osobistych tak donośnych, że autor nie może wydrzeć się z własnych objęć? Jeżeli niemal każdy autor współczesny reprezentuje pewną odmianę smutku, to w Berencie zakwitła czarna róża melancholijnej zgorzkniałości.

. . . .

Jakież bogactwo niepokoju, rozdygotania nerwów, wstrząsów i otrząsów gwałtownych niesie nam „Ozimina“! Podrzuty piersi, sprężenia, wygięcia, uwypuklenia, wyszczerzenia „aż bolesne“, pulsowanie niepokoju w oczach! Wszystko to jak w obłędnym wirze niesie się przed oczyma. Może nikt dotąd u nas nie czuł tak ciała—potęgi rozrosłego, wzgardliwego ciała kobiecego, wobec którego autor staje ciągle z osłupiałą żrącą ciekawością, z chciwym głodem wrażeń i cierpką obawą, jak wobec zjawy szatańskiej. Zrozumienie kobiety jako ciała i jego głodu, jako żywiołu, chichotu natury i jej pieszczotliwości – jest u Berenta mistrzowskie. Wybornie odczuł on moment, kiedy kobieta jakby ockniona z wizji drobnostek, widzi powagę i ciężar swego charakteru płciowego i swych przeznaczeń. Lecz ani liryzm ani tego rodzaju przenikliwość nie wystarczają, aby widzieć naród.

Gdyby na miejscu liryka zgorzkniałego stanął inny — o usposobieniu wprost przeciwnem—ujrzelibyśmy widok niezmiernie pocieszający: niewiasty pełne godności i dumy narodowej, niezłomnych młodzieńców, szlachetnych kapelanów, krzepkich starców. W tym widoku byłoby zupełnie tyle prawdy, co w berentowskim Na takie to niebezpieczeństwo narażoną bywa natura liryczna, którą pochłania zagadnienie egotyczne. Zupełnie słuszne jest oburzenie niektórych krytyków na autora. (Z tego jednak nie wypływa, że należy mu podsuwać zamiary, o jakich mu się ani śniło). Błąd Berenta należy rozumieć tak: w rzetelnym zamiarze dania przekroju duszy narodowej wpada on w zasadzkę swego temperamentu: na ciele narodu załatwia osobiste porachunki z losem. To zastawianie się narodem, kiedy chodzi o „ja“, maskarada zamiast objawienia, jest rzeczą niezmiernie przykrą W ten sposób bowiem Berent zamiast portretu daje karykaturę — widmo zamiast postaci rzeczywistej. A że każdy nosi w sobie swój naród, więc jednostki wrażliwe i moralne uczuły się „Oziminą“ jakby znieważone osobiście.

. . . .

(Dok. nast.).

PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ

BEZ KOMENTARZY.

Karin Michaëlis.—*„Niebezpieczny wiek kobiety“* *) — Z upoważnienia autorki tłómaczy — **A. Callier**:

Strona 6.—wiersz 14-y od dołu:

„zrywam najzupełniej harmonijne i szczęśliwe małżeństwo.“

Strona 10.—wiersz 8-y od dołu:

„A gdyby mi w istocie czas miał się kiedy dłużyć to przecież mogę bodaj poznaczyć bieliznę mojej kucharce z nudów.“

---

*) Książka ta ukazała się równocześnie w pięciu polskich przekładach: *A. Callierowej* (Kraków 1911.), *Alfreda St. Iwieńsklego* (Warszawa 1911.), *Kazimierza Królinskiego* (Lwów 1911.), *Br. Neufeldówny* (w bieżącym feljetonie warszawskiej „Nowej Gazety“) i *Włodzimierza Trąmpczyńskiego* (Warszawa).

Strona 13.—wiersz 12-y od dołu:

„Jest to ostatecznie, kiedy się nad wszystkiem dobrze zastanowię, czysta tylko, prosta choroba nerwów,“

Strona 21.—wiersz 3-i od dołu:

„krok mój nie jest zwykłą, prostą histeryczną fantazją. O! nie.“

Strona 24.—wiersz 12-y od góry:

„Jestem hysteryczną, Bóg widzi. Jestem nią w tej samej mierze, jak wszystkie inne,“

Strona 31.—wiersz 12-y od góry:

„Gdyby mężczyzni, mogli przeczuć, co się dzieje w nas kobietach, kiedy przejdziemy czterdziestkę, uciekaliby przed nami, jak przed zarazą, lub zabijali nas jak wściekłe psy...“

Strona 36.—wiersz 6-y od dołu:

„To całe moje filozofowanie pochodzi stąd prawdopodobnie, że na obiad jadłam turbota, a jest to ryba strasznie ciężka i niestrawna.“

Strona 44.—wiersz 8-y od dołu:

„Zazdroszczę każdej ladacznicy, co ze swym galantem może bujać gdzieś poza krajem,“

Strona 45.—wiersz 5-y od dołu:

„Wola moja jest spętana wstrętem do samej siebie.“

Strona 46.—wiersz 7-y od góry:

„Bywają chwile, w których zazdroszczę wszystkiemu, co żywe, co jest we dwoje, i co się parzy — bez względu na to, czy dzieje się to w nienawiści, czy z przyzwyczajenia.“

Strona 57.—wiersz 10-y od góry:

„Wolałabym już chyba przechadzać się wśrod nagich mężczyzn niż pozwolić na to, aby mnie rozebraną widziała inna kobieta.“

Strona 58.—wiersz 13-y od dołu:

„Gdybym się mogła tylko pozbyć tego nieprzyjemnego uczucia próżni w dłoniach,“

Strona 58.—wiersz 1-y od dołu:

„spotykałam kobiety, które zaspokajały wszystkie swe erotyczne życia potrzeby, zarówno w dozwolony jak i niedozwolony sposób — a przecież mimo to były histeryczkami.“

Strona 61.—wiersz 6 y od góry:

„Ja nie lękam się bynajmniej starości, ale tylko tego przejścia do niej. Tego dnia, chwili, w której czuje się, że nam się „to“ z rąk wymyka “

Strona 63.—wiersz 3-i od góry:

„Ciało moje niewątpliwie potrzebuje mężkiego uścisku.“

Strona 63.—wiersz 8-y od góry:

„Tak, brak mi Ryszarda; nie męża, nie przyjaciela, tylko kochanka, brak mi jednej rzeczy: tego wielkiego znużenia po użyciu.“

Strona 64.—wiersz 1-y od góry:

„Gdyby kobiety mogły okupić nową dla siebie młodość, pijąc krew serdeczną swych dzieci, to niemało wówczas morderstw popełnianoby w skrytości...“

Strona 65.—wiersz 13-y od dołu:

„Kochana Magno!“

Strona 69.—wiersz 15-y od góry:

„ty jesteś stworzona na to, aby prowadzić życie prostytutki.“

Strona 93.—wiersz 1-y od góry:

„My wszystkie, kiedy kochamy, jesteśmy takie same jak Magna“

Strona 99.—wiersz 6-y od dołu:

„Próbowałam już ze dwudziestu rzeczy byle czembądź czas zabić, ale porzuciłam każdą po kolei.“

Strona 111.—wiersz 2-gi od dołu:

„Ja gotowabym się podjąć w zupełniej ciemności, tylko przy pomocy mego zmysłu powonienia, odróżnić każdego znajomego mężczyznę, o ile, rozumie się, stykałam się z nim na dystans pozwalający odczuwać jego atmosferę.“

„Wstyd jest przyznawać się do tego, ale z mężczyznami u mnie jest to, co z kwiatami—cenię ich według zapachu. Przypominam sobie pewnego małego angielskiego kelnera, który ilekroć tylko przeszedł koło mego krzesła, doznawałam zawsze wrażenia, jakgdyby otwierały się wszystkie pory mej skóry i wszystkie moje zmysły.—Szczęście, że Ryszard był przy tem!“

„To także było powodem, dla którego nie mogłam znosić dotknięcia pana von Brinken—i z tegoż samego powodu Ryszard osiągnął władzę nad mojemi zmysłami.“

„Ile razy tylko gryzę łodygę bratka, doznaję takiego samego uczucia rozkoszy, jak wówczas, kiedy ten kelner angielski tak mnie drażnił.“

„Mężczyźni nie powinniby nigdy używać perfum. Stwórca pod tym względem uposażył ich dostatecznie. Co do kobiet, to uważam, że jest to rzecz całkiem inna.“

Strona 131.—wiersz 10-y od góry:

„nie pojmuję jak dojrzali mężczyzni mogą brać na serjo młodziutkie siedemnastoletnie dziewczyny. Mnie one irytują i gniewają tylko.“

Strona 133.—wiersz 11-y od góry:

„Pamiętam dobrze jeszcze tego parobka, który w jesieni piłował dla mnie drzewo na opał.“

Strona 135.—wiersz 5-y od góry:

„Jörgen Malthe...“

„Gdy piszę jego imię zdaje mi się, że darzę go jedną z tych pieszczot, do których drżą utęsknione moje dłonie...“

Strona 135.—wiersz 2-gi od dołu:

„Jedną jedyną noc tylko, dajcie mi jedną noc jedyną...“

Strona 137.—wiersz 14-y od dołu:

„Mam teraz lat czterdzieści trzy, tak jest, Pan zapewne wiesz o tem, a Pan masz dopiero trzydzieści pięć.“

Strona 148.—wiersz 12-y od góry:

„Ja com dla Ryszarda nie czuła nigdy nic prócz obojętności, połączonej ze znudzeniem, udawałam wielką namiętność.“

Strona 150.—wiersz 6-y od dołu:

„mężczyzn nie rozumiem wcale, to niech będzie mojem usprawiedliwieniem, jeśli igrałam z nimi często.“

Strona 167.—wiersz 14-y od dołu:

„Elsie Lindtner, czy ty wiesz, że w tym samym roku, w tym samym miesiącu ofiarowałaś się dwu mężczyznom i wzgardzona zostałaś przez każdego z nich.“

W NAWIASIE.

DO MŁODOŚCI.

Młodości! Czy Ty znasz
Uroku Twego moc
Zaklętą w żywy cud
Melodji tej,
Którą Ty w Sobie masz
Z tęczowych słońca barw,
Z płomiennej kwiatów woni?

Czy wiesz, że w Tobie jest
Bijący życiem zdrój
Na pokrzepienie serc
Zastygłych już;
Żeś jest szafarką łask
Z pod klucza owych bram,
Gdzie mieszka szczęście ludzkie.

Że trzykroć święte jest
Cierpienie Twoich łez,
Gdy oto budzisz się
Z dziecięcych snów
Na krwawy życia dzień,
Na walkę słabych rąk
O kęs czarnego chleba.

A gdy Cię strawi ból,
Żeś tak niewiele mógł
Ginącej braci nieść
W ofierze krwi,
Czy wiesz, że Twoja myśl,
Jak czyn piorunnych lśnień,
Z chmur czarnych błysnąć może
Na pokaranie i na śmierć...
I na zwycięstwo...

Poprzez piorunny szlak
Do słońca Prawdy!

Józef Krobicki.

Jamby wioślarskie.

Znów nam pobudkę grasz
o wiośnie,
Hej Wisło, Wisło nasza stara,
A my melodję twoich fal,
Hej znów witamy dziś radośnie!.
Hej znów witamy dziś radośnie!..
Hej, hejże naprzód młoda wiara
Hej, hejże, śmiało płyńmy wdal...
Hej, hej do mety, tam do mety,
Gdzie stoi nasza straż...
Gdzie stoi straż...

Zwycięski sztandar nasz
wioślarski
Drewnianych, śmigłych wioseł para,
I rąk tych dwoje, niby stal,
I w głębi serc animusz dziarski...
I w głębi serc animusz dziarski...
Hej, hejże naprzód młoda wiara!
Hej, hejże śmiało płyńmy wdal...
Hej, hej do mety, tam, do mety,
Gdzie stoi nasza straż...
Gdzie stoi straż...

A gdy o sławę dbasz
swej pieśni,
Płynącej nocą od galara,
Ponad wiankami światło pal,
Nim twej młodości czar się prześni..
Nim twej młodości czar się prześni...
Hej, hejże naprzód młoda wiara!
Hej, hejże, śmiało płyńmy wdal...
Hej, hej, do mety, tam, do mety,
Gdzie stoi nasza straż...
Gdzie stoi straż...

Józef Krobicki.

Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.